

Ingrid Bergman - opowieść rodzinna

Z Aleksandrą Ziółkowską-Boehm na temat książki o wielkiej hollywoodzkiej aktorce - rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.



Ingrid Bergman, fotografia z dedykacją: TO NORMAN WITH MUCH LOVE, 1957 r., fot. arch. A.Z-B

W Twoim domu zachowała się korespondencja Ingrid Bergman z Twoim mężem - Normanem Boehmem. Jakie więzy pokrewieństwa ich łączyły?

Ojciec Ingrid - Justus, i babcia Normana - Blenda byli rodzeństwem. Zachowały się listy pisane przez Ingrid do Normana, do jego ojca, i do jego babci. Jest ich w sumie czterdzieści, wszystkie w języku angielskim.

Zanim postanowiłaś, że opublikujesz książkę na podstawie tej korespondencji, minęło 20 lat. Powiedz dlaczego był to dla Ciebie trudny temat?

Odkładałam napisanie książki „na później”. Nie chciałam – niebawem po wyjściu za mąż – pokazać – pochwalić się jakby – że takie ładne mam koneksje. Chciałam także dojrzeć do tego tematu, dowiedzieć się więcej. Przeczytałam chyba wszystkie książki na temat wielkiej aktorki, a jest ich niemało. Posiadam w domu:

*John Russell Taylor: “Ingrid Bergman” (St. Martin’s Press NY 1983);

*Laurence Leamer “As Time Goes by. The Life if Ingrid Bergman” (Harper and Row Publushers, New York 1986);

*Donald Spoto: Ingrid Bergman” (Harper Collins Publishers, New York 1997); Scott Eyman “Movie Icons -Bergman” (Taschen, Imprint 2009);

*Charlotte Chandler „Ingrid Bergman. A personal biography” (Simon and Schuster, 2007);

Na jednej z książek Norman napisał, jak ceni i cieszy się, że piszę o jego kuzynce:

4 August 2010

My Dearest Aleksandra,

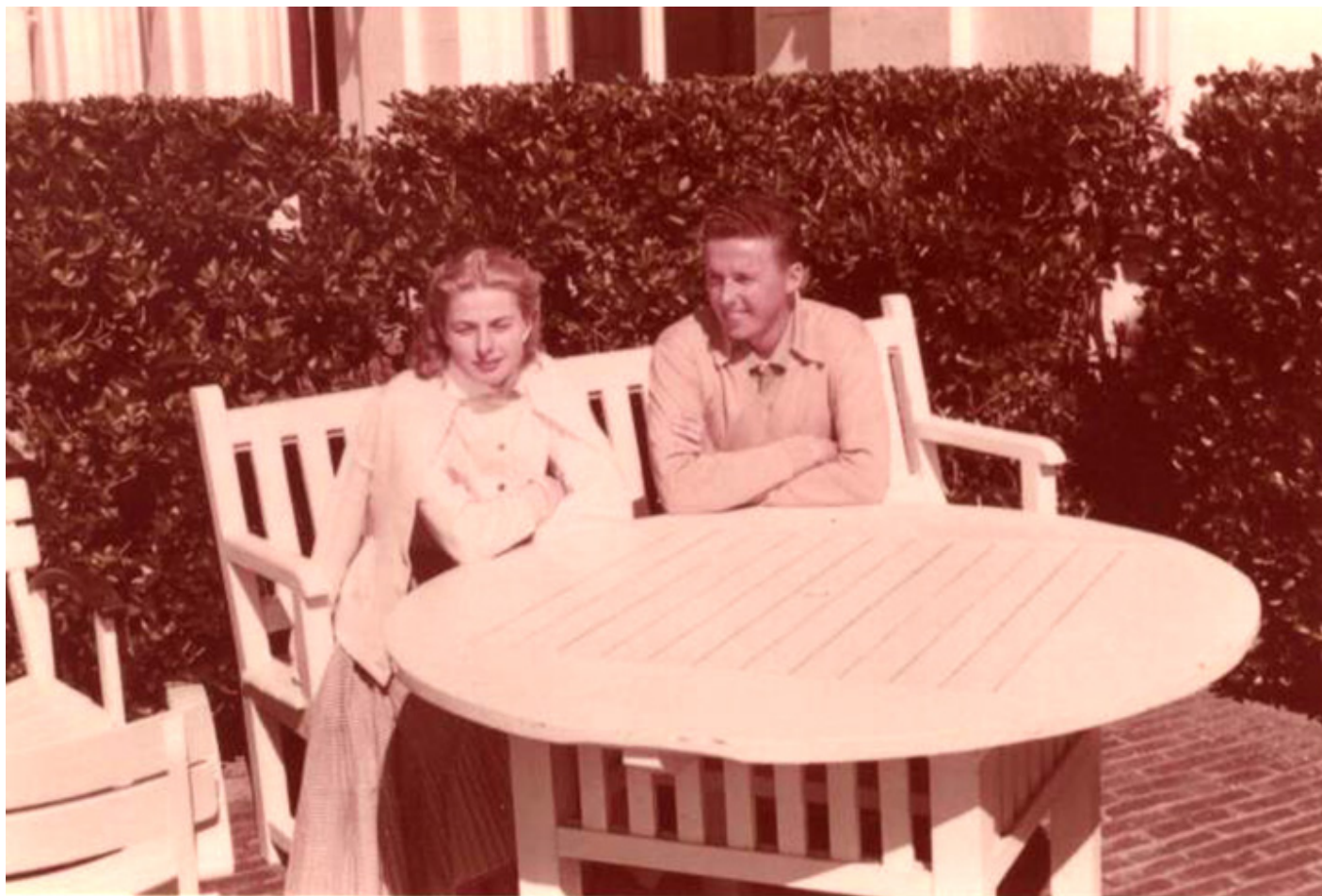
I sincerely hope you will find another book about Ingrid Bergman useful for your writing project. That you have undertaken to write about her relationship with my family is most gratifying, and I am very appreciative.

My love forever

Norman

Czas płynął, czytałam, ale przede wszystkim - słuchałam Normana opowieści o słynnej utalentowanej kuzynce, opowieści najpiękniejszej, bo opowiadał z wielką sympatią i szacunkiem.

Z założenia - chciałam napisać opowieść rodzinną, bez sensacji; pokazać piękną kobietę, wielką aktorkę, interesującego człowieka.



Ingrid Bergman i Norman Boehm, Deauville, Francja 1956 r., fot. arch. A.Z-B

Kiedy książka się ukazała?

Książka „Ingrid Bergman – prywatnie” ukazała się najpierw w Polsce, w wydawnictwie Prószyński i S-ka w 2013 roku. W tym samym roku ukazała się w Stanach Zjednoczonych pt. „Ingrid Bergman and Her American Relatives” (2013).

We wstępie do książki Norman Boehm napisał, cytując tłumaczenie:

cieszę się, że moja żona Aleksandra napisała o Ingrid Bergman i jej związkach z rodziną Boehmów. Ta opowieść pokazuje piękną i wybitną aktorkę, która poza tym, że Bóg dał jej talent i urodę, był również pełna ciepła, dobroci, współczucia, oddania, serdeczności, entuzjazmu....by wymienić tylko kilka jej cech. Mam nadzieję, że czytelnicy tej książki podzielą moje i Aleksandry serdeczne uczucia do Ingrid Bergman, którą miałem szczęście znać osobiście.

W książce jest zamieszczonych wiele wypowiedzi na jej temat, opowieści, anegdoty, dzięki czemu czytelnik ma szansę spojrzeć na gwiazdę ekranu z innej strony. Jak mogłabyś podsumować, kim Ingrid Bergman była dla Normana?

Jak Norman opowiadał - była dla niego niezwykle ciepłą, serdeczną. Był dumny, że się widywali, przyjaźnili. Miał wiele szacunku i miłości do swojej kuzynki. Ogólnie - moja książka też jest serdeczna, rodzinna. Nie powtarzałam plotek, które przytaczane są niemal w każdej książce o wielkiej aktorce.

Dostała trzy Oscary - aktorką była wybitną. Jako człowiek - przystępna i naturalna. Gdy zaczęła grywać w filmach postanowiono ją pokazywać jako naturalną, bez upiększających zabiegów, wchodziła w lata także naturalnie.

Oprócz opowieści Normana i zamieszczonych listów, w książce jawi się nie tylko obraz pięknej kobiety i utalentowanej aktorki, ale uchylasz też rąbka jej prywatnego życia. Dowiadujemy się, że była wysoka, co czasem przeszkadzało w rolach, gdy np. musiała grać z niższymi mężczyznami.

Norman opowiadał, że gdy oboje tańczyli w Deauville, była jego wzrostu, a był wysokim mężczyzną. W swojej książce autobiograficznej: „Ingrid Bergman. My story” (autorzy: Ingrid Bergman i Alan Burgess, Delacorte Press, New York 1980) Ingrid pisze, że często chodziła na ugiętych kolanach, gdy jej partnerzy filmowi byli niżsi, a nie chciano tego pokazywać. Umieszczano także specjalną platformę dla aktora, aby Ingrid – stojąca na podłodze sprawiała wrażenie niższej.



Ingrid Bergman i Norman Boehm, Londyn 1982 r., fot. arch. A.Z-B

W ciąg biograficzny wplecione są role filmowe i stopnie kariery. Czy Ingrid Bergman, tak jak publiczność, też uważała „Casablancę” za najważniejszy film z jej udziałem?

Ingrid ceniła takie filmy z jej udziałem jak: „Joanna D’Arc”, „The Bells of St. Mary’s”, „Anastazja”. „Casablanca” była i jest odbierana przez innych jako jej najwspanialszy film. Napisała w autobiografii, że nagrane były dwa zakończenia. Długo nie wiedzieli, które zakończenie wybiorą. – Czy Ilsa odleci

samolotem z mężem, czy zostanie. Jest piękna końcowa scena – kiedy Claude Rains (Paul Hendreid) i Bogie (Humphrey Bogart) odchodzą we mgle, mówiąc słynne zdanie, „Louis, myślę, że to jest początek pięknej przyjaźni”.

Wkrótce po „Casablance” otrzymała rolę w „Komu bije dzwon” – wysoka Szwedka zagrała hiszpańską chłopkę. Bergman była chwalona, że nie pokazuje uczuć, że widzowie widzą w niej to, co chcą widzieć.

Napisała do ciebie córka Ingrid Bergman - Isabella Rossellini. Jak skomentowała książkę o swojej matce?

Napisała, że się bardzo wzruszyła, że zawsze tak się dzieje, gdy po latach czyta o matce. Przekazała materiały na temat Ingrid do archiwum na amerykański uniwersytet Wesleyan (Middletown, Connecticut). Prosiła, bym przekazała tam kolekcję listów Ingrid do Normana babki, ojca i do niego.

Pia Lindstrom, pierwsza córka Ingrid (z małżeństwa z Petter Lindstrom), wyraziła zgodę na druk listów matki (*trzeba uzyskać zgodę, takie obowiązuje prawo autorskie*).

Książka się kończy refleksją, że obojętnie ile mamy lat, lubimy opowieści o miłości i sławie.

Takie nostalgiczne napisałam zakończenie... Uważam, że chcemy oglądać filmy, czytać książki o miłości, niezależnie od czasu, który mija. Takie opowieści są jak piękne bajki.

Norman do końca życia powielał adres Ingrid w nowych notesach. Nie chciał go wykreślać. Jakby chciał zatrzymać czas.

*

Okładki książki w dwóch wersjach językowych



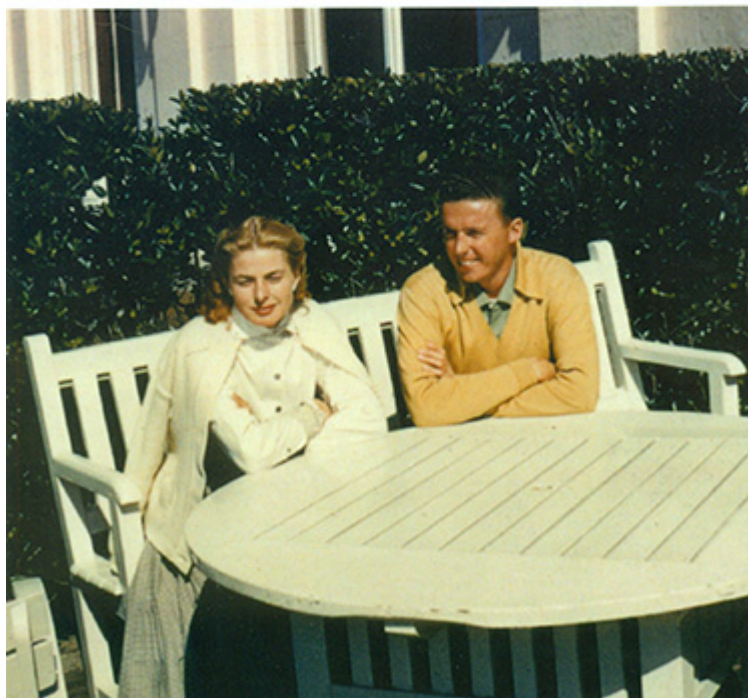
ALEKSANDRA ZIÓLKOWSKA-BOEHM

Ingrid Bergman
prywatnie

Prószyński i S-ka

INGRID BERGMAN AND HER AMERICAN RELATIVES

ALEKSANDRA ZIOLKOWSKA-BOEHM



Od redakcji:

**Wybrane recenzje książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm
„Ingrid Bergman - prywatnie”.**

Niezwykajna biografia

(...) Po książkę Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm “Ingrid Bergman

prywatnie” sięgnąłem głównie ze względu na jej autorkę, której karierę pisarską śledzę od dawna. Nie jest to jednak zwykła książka. Wskazuje na to nie tylko wytworna okładka, „kapiąca złoceniami”. Książka o Ingrid Bergman powstała bowiem z miłości do Normana i dla niego, męża pani Aleksandry. (...) Pierwszy raz Norman spotkał ciotkę Ingrid w domu swych dziadków - Carla Adalberta i Blendy Boehmów, w małym miasteczku Washington w stanie New Jersey. Była to wówczas pierwsza wizyta szwedzkiej aktorki w USA, kiedy zagrała na Broadwayu rolę Julii w sztuce Ferencza Molnara „Liliom”. Miała wtedy 25 lat i pojawiła się w towarzystwie swej dwuletniej córeczki Pii. Zachwycała wszystkich jasnością uśmiechu i swobodną naturalnością - taką ją zapamiętał Norman. Kolejne jego spotkania z Ingrid Bergman nastąpiły w latach 60., u szczytu jej kariery. Norman pracował wówczas na Bliskim Wschodzie i w drodze do lub z USA spotykał się z nią w Europie - Rzym, Paryż i Londyn. (...)

Już po kilku stronach pozwoliłem się ponieść opowieści, dałem się wciągnąć w zaczarowany krąg pięknej Ingrid. Kiedy w 1982 roku Ingrid Bergman kończyła swą ziemską wędrówkę, Aleksandra Ziółkowska przebywała w Toronto, w Kanadzie. Żoną Normana została w 1990 r., i dopiero wtedy do jej życia wkroczyły towarzyszące Normanowi wspomnienia o pięknej ciotce Ingrid. Były to opowieści o uroczych spotkaniach z aktorką oraz bezcenne pamiątki w postaci fotografii (oglądamy co

ciekawsze), listow (faksimile niektórych znajdziemy w książce) czy oryginalnego plakatu z kultowego filmu „Casablanka” oraz biografii aktorki napisanej wspólnie z Alanem Burgessem „Ingrid Bergman. My Story” z bezcenną dedykacją: „To Norman with good luck, Fondly, Ingrid. October 1980” (Dla Normana z życzeniami szczęścia. Czule, Ingrid, październik 1980) (...)

Książka, dedykowana przez panią Aleksandrę Normanowi, pokazuje normalne, rodzinne życie aktorki, dla którego tylko tłem jest jej praca artystyczna. Natomiast jej miłosne fascynacje stają się tylko inspiracją i usprawiedliwieniem dla jej artystycznej – scenicznej i filmowej – pracy aktorskiej. (...)

Niezwykajna biografia, Janusz Paluch, KRAKÓW, październik 2013 r.

Kuzynka Ingrid

(...) Jak to się stało, że pośród bohaterów książek Ziółkowskiej-Boehm, tych „odziedziczonych po Wańkowiczu” i tych „swoich” – hubalczyków, powstańców warszawskich, żołnierzy Andersa, polskich powojennych emigrantów politycznych, rodzin i rodów kresowych, postaci związanych z polską historią, pojawia się nagle gwiazda światowego kina? Autorka zaznacza we wstępie, że Ingrid Bergman należała do ulubionych aktorów pokolenia jej

rodziców, a i ona sama chętnie oglądała filmy z udziałem Bergman, która szczególnie stała się jej bliska poprzez opowieści męża. Od kiedy w 1990 r. w USA wyszła za mąż za Normana Boehma, opowiadał on często o swojej słynnej kuzynce, pokazywał fotografie, pamiątki, listy pisane przez nią do amerykańskich krewnych: do jego babki Blendy, ojca Carla Normana i do niego. Wspominał wizyty Ingrid w jego domu rodzinnym: że grał dla niej na pianinie m.in. *Pieśń Indii* Rimskiego-Korsakowa i walc minutowy Chopina i że był bardzo przejęty, kiedy go, małego wówczas chłopca, pochwaliła za grę. Spotykał się z nią w Paryżu, Deauville, Londynie, Nowym Jorku, poznał m.in. Roberta Rosselliniego, Yula Brynnera, Ritę Hayworth, Jeana Renoira. (...)

Co nowego dowiemy się o Ingrid Bergman po lekturze tej książki? Jak dotąd na ogół nie wiadano, że urodzona w Sztokholmie aktorka była pół Szwedką, pół Niemką. Ojciec Justus Bergman był Szwedem, a matka Friedel Adler – Niemką. W Ameryce, gdzie Ingrid Bergman zdobyła ogromną popularność, wręcz unikano wzmianek o jej niemieckim pochodzeniu. Podczas drugiej wojny światowej i w kolejnych latach nie przypomniano o niemieckim rodowodzie znanych aktorów, tak np. uczyniono w przypadku Clarka Gable'a. (...)

Nowe światło na twórczość Ingrid Bergman rzucają dokumenty rodzinne. Jej córka Pia stwierdziła np., że matka byłaby

nieszczęśliwa, wiedząc, że *Casablankę* uważa się za jej najlepszy film. Matka, według niej, znacznie wyżej ceniła i bardziej lubiła rolę Joanny d'Arc i ten film uważała za wyjątkowy w swojej karierze.

Jest pewną tajemnicą, jak ulotne zdawałoby się rzeczy – fragment listu, fotografia, niespodziewane spotkanie przywołane we wspomnieniach – mogą wiele powiedzieć o ludziach i ich świecie. I nie są to okruchy życia, ale sama jego esencja. Był rok 1955, gdy w jednym z listów z Paryża Norman, będąc wówczas gościem swojej sławnej kuzynki, pisał do domu: „Pojechaliśmy odwiedzić reżysera nowego filmu Ingrid – Jeana Renoira, który jest bardzo znany we Francji. Mieszka wraz z żoną niedaleko placu Pigalle w najbardziej rozsypującym się mieszkaniu, jakie widziałem w życiu. Wcześniej mieszkał tam w nim ojciec reżysera, słynny malarz. Piliśmy szampana, rozmawialiśmy, było bardzo przyjemnie”. (...)

Anna Bernat, NOWE KSIĄZKI, 1 lipca 2013 r.

Zagraj to jeszcze raz, Ingrid!

Po lekturze książki o Ingrid Bergman, autorstwa Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, zapragnąłem zobaczyć ponownie najślynniejsze role tej wielkiej aktorki. Na szczęście jest to

możliwe, bo są już zarejestrowane na dvd. Od *Casablanki* i *Gasnącego po mienia* po *Jesienną sonatę*. (...)

Książka Aleksandry Ziółkowskiej -Boehm przypomina nie tylko dzieje Ingrid Bergman i jej rodziny, ale także dzieje jej trzech mężów i czworga dzie ci. Wyłania się z niej wizerunek kobiety, która chciała mieć jak najlepszy kontakt ze swymi bliskimi, od których była oddalona. Z listów cytowanych przez autorkę wynika, że była zorientowana w ich losach, pamiętała o nich i czuła wdzięczność za każdą oznakę pamięci o niej. Była także skora do pomocy materialnej. Nie skąpiła również słów otuchy. Listy te, pisane czasem w pośpiechu na hotelowym papierze firmowym, cechuje jednak serdeczny stosunek do adresatów i potrzeba, by być wobec nich w porządku. Nie ma w nich gwiazdorskiego patrzenia z góry i poklepywania po ramieniu. Nie ma też imponowania i samozachłystywania się kolejnymi sukcesami. Jest natomiast przepaszający ton, za ustawiczny brak czasu wypełnionego pracą i wynikającymi z niej rozjazdami. Na fotografiach pokazujących te listy widać czytelny i staranny charakter pisma oraz układ zdań świadczący o potrzebie ładu i zmyśle estetycznym samej Ingrid. Niby drugorzędny drobiazg, a ile mówi o klasie człowieka.

**Andrzej Józef Dąbrowski, Zagraj to jeszcze raz, Ingrid!,
PRZEGLAD POLSKI/NOWY DZIENNIK, Nowy Jork, 5 maja
2014 r.**

Polacy na Kaukazie w XIX wieku w pamiętnikarstwie z epoki



Lucjan Wędrychowski, *Na zeszaniu*, olej na płótnie, 108 x 238 cm, Muzeum Śląska Opolskiego, Opole

Aleksander Bogolubow (*Piatigorsk, Kaukaz Północny, Rosja*)

Po upadku Rzeczypospolitej Polskiej w 1795 roku i wcieleniu dużej części ziem w skład imperium rosyjskiego, znaczna część Polaków, zarówno z terenów koronnych, jak i z kresów, szukała swego miejsca nie w szeregach tych, którzy walczyli o niepodległość kraju, tylko w życiu codziennym imperium. Kilka tysięcy osób ukaranych za działalność niepodległościową, przymusowo weszło w skład samodzielnego korpusu kaukaskiego armii rosyjskiej. Żołnierze ci byli tam bardzo potrzebni, ponieważ na Kaukazie znaczna część górali kaukaskich, a w szczególności w Czeczenii i w Dagestanie, nie akceptowała wcielenia ich ziem do imperium rosyjskiego i walczyła o całkowitą niepodległość swojego terytorium. W ten sposób, imperium rosyjskie miało dwa niespokojne tereny, dążące do niepodległości: Kaukaz i Polskę. Specyfika tych regionów polegała na tym, że Polska była i nadal jest krajem chrześcijańskim, natomiast ta częśći Kaukazu, na której trwała wojna, była i nadal jest zamieszkiwana przez muzułmanów. Warto zaznaczyć, iż carat umiejętnie korzystał z takiej kontrowersji, zmuszając zesłańców polskich do walki z góralami kaukaskimi.

Ci zesłańcy, których można bez żadnej wątpliwości zaliczyć do grona rusofobów, zdawali sobie sprawę z tego, że zostaną nikim innym, jak niewolnikami wśród górali, jeśli nie poddadzą się woli okupanta. Chociaż nienawidzili carską Rosję, musieli walczyć na Kaukazie.

Do grona nienawidzących caratu pamiętnikarzy tamtego okresu, należy zaliczyć Wincentego Gedeona Giedroycia[1]. Opisywał on okrucieństwa Rosjan wobec Polaków, podając przykłady, których nie można było znaleźć w innych źródłach. Do tego pamiętnik napisany jest wierszem. Oczywiście, pod względem literackim, Giedroyc naśladuje Adama Mickiewicza. Zresztą, można powiedzieć, że taka była ówczesna moda.

Innym wielkim rusofobem wśród zesłańców polskich był Mateusz Gralewski[2]. Dużo miejsca w jego pamiętniku zajmują rozważania na temat ewentualnej ucieczki do górali, na którą Gralewski w końcu się nie zdecydował. Koniec końców ów autor doszedł do wniosku, zresztą trudnym do zrozumienia, że każdy Polak na Kaukazie wiedział, co winien Moskałom, a co winien góralom.

Inny pamiętnikarz i zesłaniec na Kaukazie, Karol Kalinowski[3], porwany przez górali i wzięty do niewoli, przeszedł na islam i nawet chciał ożenić się z dziewczyną czeczeńską. To mu się jednak nie udało, gdyż Kalinowski nie został zaakceptowany przez czeczeńskie społeczeństwo. Uciekł więc do Rosjan i walczył w szeregach armii rosyjskiej aż do końca wojny kaukaskiej.

Do grona innego rodzaju pamiętnikarzy wśród polskich zesłańców na Kaukazie można zaliczyć Hippolita Jaworskiego[4],

uczestnika obydwóch powstań polskich i gorącego zwolennika niepodległości ojczyzny. Przy tym Jaworski całkowicie popierał politykę Rosji na Kaukazie i wojnę, którą Rosja tam prowadziła, uważał ją za ciąg dalszy walki chrześcijańskich rycerzy z muzułmanami na kresach dawniej Polski.

Polskim pamiętnikarzem, który był oficerem armii rosyjskiej i nigdy nie był zesłańcem, a nawet można go zaliczyć do grona rusofilów - był Henryk Dzierżek[5]., który zachwycał się sukcesami rosyjskiego oręża.

Przykładem działalności Polaka, który nie był zesłańcami i zrobił wspaniałą karierę w armii lub administracji carskiej, jest Marcein Olszewski, który w latach 1844-1846 zajmował stanowisko gubernatora cywilnego obwodu kaukaskiego w stopniu generał-majora[6].

Chociaż większa część pamiętników polskich o pobycie na Kaukazie w XIX wieku została sporządzona przez zesłańców, nie wszyscy oni popierali walkę górali o niepodległość. Niektórzy Polacy przebywali na tym terenie w szeregach armii carskiej jako ochotnicy, zrobili wojskową karierę, pozostawiając po sobie ciekawe pamiętniki.

Aleksander Bogolubow -doktor nauk humanistycznych w zakresie historii najnowszej.

Przypisy:

[1] Giedroyć G., *Kilka wspomnień z kaukaskiego wygnania*, Lwów 1867.

[2] Gralewski M., *Kaukaz. Wspomnienia z dwunastoletniej niewoli. Opisanie kraju - Ludność - Zwyczaje i obyczaje*, Lwów 1877.

[3] Kalinowski K., *Pamiętnik mojej żołnierki na Kaukazie i niewoli u Szamila od roku 1844 do 1854*, Warszawa 1883.

[4] Jaworski H., *Wspomnienia Kaukazu*, Poznań 1877.

[5] Dzierżek H., *Wspomnienia Kaukazu*, „*Athenaeum*”, 1848, Oddział drugi, t. III, nr 4, s. 77-215.

[6] Gosudarstwennyj Archiw Stawreopolskogo kraja. (GASK), fond 444, opis 1, jedinica chranienija. 3586.

*

Bibliografia:

1. Dzierżek H., *Wspomnienia Kaukazu*, „*Athenaeum*”, 1848, Oddział drugi, t. III, nr 4, s. 77-215.

2. Giedroyć G., *Kilka wspomnień z kaukaskiego wygnania*, Lwów 1867.
 3. Gosudarstwennyj Archiw Stawreopolskiego kraja. (GASK), fond 444, opis 1, jedinica chranienija. 3586.
 4. Gralewski M., *Kaukaz. Wspomnienia z dwunastoletniej niewoli. Opisanie kraju - Ludność - Zwyczaje i obyczaje*, Lwów 1877.
 5. Jaworski H., *Wspomnienia Kaukazu*, Poznań 1877.
 6. Kalinowski K., *Pamiętnik mojej żołnierki na Kaukazie i niewoli u Szamila od roku 1844 do 1854*, Warszawa 1883.
-

Zobacz też:

Syberyjskim szlakiem Dargiewiczów. Część I.

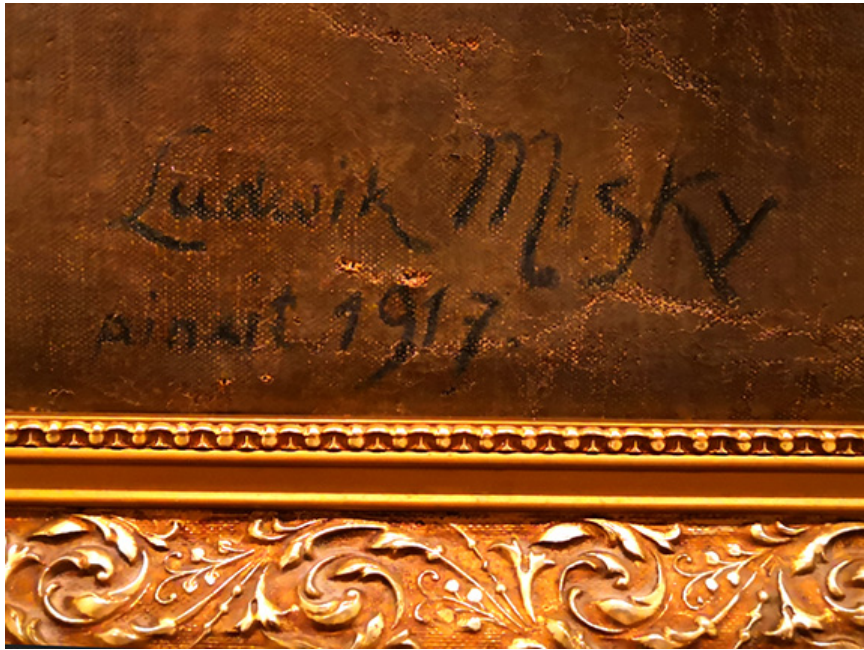
Syberyjskim szlakiem Dargiewiczów. Część II.

Ludwik Misky – autoportret w kontuszu

Oprac. Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*)



Ludwik Misky, autoportret (?), olej na płótnie, 150 x 100 cm,
1917 r., wł. prywatna, dr Kasem Bahloul, Poznań



Podpis Ludwika Misky'iego na portrecie **Ludwik Misky** właśc. Ludwik de Delney Misky, polski malarz i grafik, urodził się 16 stycznia 1884 r. w Nowym Sączu, zmarł 1 lutego 1938 r. w Krakowie. Pochodził ze spolonizowanej rodziny węgierskiej, osiadłej w Małopolsce. Był synem Ludwika i Wiktorii z Polityńskich. W latach 1902-1910 studiował malarstwo w Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Uczył się pod kierunkiem m.in. Leona Wyczółkowskiego, Józefa Mehoffera, Józefa Pankiewicza i Floriana Cynka. Równocześnie studiował na Wydziale Filozofii i Historii Sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Studiował też muzealnictwo w Paryżu, Berlinie, Dreźnie, Lipsku i Wiedniu. W 1907 roku wrócił do Krakowa, aby zacząć pracować w szkolnictwie – początkowo jako nauczyciel rysunku, później inspektor i wizytator, a od 1927 jako naczelnik wydziału szkół zawodowych w Kuratorium Krakowskiego Okręgu Szkolnego. Był też autorem artykułów i podręczników z dziedziny nauczania rysunku i organizacji szkolnictwa. Należał do Cechu

Artystów Plastyków „Jednoróg”. Brał też czynny udział w życiu artystycznym, miał wiele wystaw. Malował portrety, pejzaże i martwą naturę. Zajmował się też grafiką, uprawiał wszystkie techniki w metalu oraz drzeworyt. Był autorem wielu exlibrisów i kilimów. Największy zbiór prac artysty znajduje się w Dworku Emila Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym.



Dworek - Muzeum Emila Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym
W 1917 r. Ludwik Misky ożenił się z Olgą Łodzianką-Michalską (1893-1964). Łodzianka to herb, którym pieczętowała się m.in. rodzina Michalskich. Prawdopodobnie przodek Olgi Michalskiej, Jan Michalski otrzymał nobilitację i herb Łodzianki w 1768 r. Jego synowie legitymowali się szlacheństwem z Galicji Zachodniej.

Z tego samego roku, co zawarcie małżeństwa Ludwika Misky'ego pochodzi autoportret w kontuszu. Można zatem domniemywać,

że skoro malarz ożenił się z osobą stanu szlacheckiego, chciał mieć portret, który przedstawiałaby go jako szlachcica. Wówczas osoby stanu szlacheckiego dość często brały ślub w kontuszu. Czyżby portret, który wisi w domu dr Kasema Bahloula, lekarza, pochodzącego z Palestyny i jego żony w Poznaniu, był obrazem artysty, który powstał na pamiątkę zawarcia małżeństwa?



Ludwik Misky, autoportret, ok. 1920 r., fot. domena publiczna
Dr Kasem Bahloul

Dom, który kupiliśmy z żoną 15 lat temu został zbudowany ok. 100 lat wcześniej. Należał do bogatej rodziny kupców poznańskich - Zofii i Edwarda Michaelisów. Niestety nie mamy kontaktu z ich rodziną i nie wiemy jak ten obraz trafił do ich domu.

Jestem Palestyńczykiem z pochodzenia, a Polakiem z wyboru. Kiedyś podczas spotkania z moją rodziną w Gazie, rozmawiałem z moją żoną Polką po polsku. Mój ojciec usłyszał naszą rozmowę i nagle po ok. 40 latach zaskoczył nas pytaniem - czy wy rozmawiacie w języku ludzi z obozu polskiego w Palestynie? Powiedział przy tym kilka słów - chleb, winogrona i papierosy!!! Z otwartymi ustami patrzyliśmy na ojca. Zapytałem - skąd znasz te słowa? Wtedy ojciec opowiedział nam historię obozu polskich rodzin i żołnierzy armii generała Władysława Andersa, którzy trafili do Palestyny, z Rosji przez Iran.

Ojciec był rolnikiem, mieszkał w wiosce Yibna (niedaleko Yaffa), gdzie miał dom i ziemię, w pobliżu obozu. Codziennie sprzedawał swoje produkty - świeże figi, winogrona, pomarańcze, cytryny, banany... rodzinom polskim w tym obozie. Czasami był to handel wymienny np. za papierosy. Mój wujek również pracował w polskim obozie jako cieśla, wykonywał tam drobne prace stolarskie. To właśnie Polacy nauczyli go jak zbudować drewniany pług oraz inne rolnicze narzędzia.

Wcześniej kierowca Pogotowia Ratunkowego z Gorzowa Wielkopolskiego, gdzie pracowałem jako lekarz medycyny, opowiadał, że jako młody chłopak, mieszkał w tym obozie. Obóz znajdował się między naszą wioską Yibna (Yavne) a Maghar, w okresie 1940-1945 r.

Historia lubi się powtarzać, trzy lata później Palestyńczycy też trafili do obozów i żyją w nich do dnia dzisiejszego. Zaczęła się też tułaczka naszego narodu od Chile do Pekinu. Mam nadzieję że kiedyś to się skończy i ludzie będą żyć razem w pokoju jak kiedyś: bez względu na religię, rasę i pochodzenie, a miasta takie jak Nazaret, Hebron, Betlejem, Jerozolima czy rzeka Jordan staną się dostępne dla wszystkich wiernych z całego świata.

W Polsce znalazłem się jako stypendysta rządu polskiego, za co będę dozgonnie wdzięczny. W Poznaniu ukończyłem studia na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej, a później jako anesteziolog pracowałem w polskich szpitalach uzyskując stopień doktora nauk medycznych na tej samej uczelni.

W 1991 roku sytuacja lekarzy anesteziologów w Polsce była bardzo ciężka, nie dało się żyć z pensji mojej oraz żony, byłem więc zmuszony działać niestandardowo. Otworzyłem przedsiębiorstwo importu i dystrybucji artykułów spożywczych, a z czasem zająłem się też produkcją spożywczą, Aktualnie mamy trzy zakłady produkcyjne w Wielkopolsce, w których pracuje ok.

200 osób, (LEVANT FOODS Sp. z o.o.).

Nasze produkty są eksportowane do różnych krajów świata promując polski przemysł spożywczy. Tak więc mam podwójną działalność - lekarską i biznesową. Nazywam to schizofrenią kontrolowaną, wymuszoną przez realia okresu transformacji ustrojowej w Polsce.



Dr Kasem Bahloul, właściciel firmy LEVANT FOODS Sp. z o.o.
Informacje o Ludwiku Misky'm na podstawie Wikipedii

Zobacz też:

W poszukiwaniu Zegadłowicza

Upojny klimat czerwca



Włodzimierz Tetmajer, Noc Świętojańska, 1904 r., Muzeum Okręgowe w Lesznie, fot. wikimedia commons

Włodzimierz Wójcik (1932-2012)

Czerwiec jest miesiącem, w którym obchodzi się urodziny księdza Jana Twardowskiego. Urodził się 1 czerwca 1915 r. Jakże to wymowne, symboliczne; rocznica Jego urodzin przypada na Dzień Dziecka. Los Mu niejako wyznaczył wielką misję miłowania maluchów, opiekowania się zwłaszcza dziećmi specjalnej troski. Niestety, nie ma Go pośród żywych, ale mamy nadzieję, że po tamtej stronie będzie mógł obchodzić swoje imieniny Jana, w pejzażu uformowanym przez umiłowanego przez niego też Jana, ale ...Kochanowskiego. Autor *Pieśni świętojańskiej o Sobótce* tak właśnie witał przełom wiosny i lata symbolizowanym przez znak

zodiaku wyznaczającym dni między 22 czerwca a 22 lipca:

Gdy słońce Raka zagrzewa,
A słowik więcej nie śpiewa,
Sobótkę, jako czas niesie,
Zapalono w Czarnym Lesie.

Miesiąc czerwiec kusił także poetę żyjącego ponad trzysta lat później. Leopold Staff pisał o nim w wierszu *Wczesne lato* (tom: *Dziewięć Muz*):

Tak nagle przyszło pełne lato
I zawróciło wszystkim głowy.
I czar czerwcowy jak świat stary
Zdaje się niebywale nowy.

*

Śpiewem zanoszą się słowiki,
Bzu duszne wonie biją zewsząd
I dziko wpada wiatr spragniony
W ramiona rozchylonych dziewcząt.

Piszący te słowa, miłośnik poezji jednego i drugiego twórcy, jest w pewnym kłopotcie. Jak to jest z tym słowikiem. Czy „nie śpiewa”, czy „zanosi się” śpiewem? Czy – jak u Staffa – w końcu czerwca „bzu duszne wonie biją zewsząd”? Doświadczenie mówi, że bzy zwykle kwitną koło połowy maja, na imieniny Zofii. Jednak takie nasze „pragmatyczne” wątpliwości – w obliczu prawdy artystycznej – nie mają znaczenia. W świecie poezji wszystko ma prawo bycia i życia. Podziwiamy przecież Kazimierza Wierzyńskiego, który głosi światu pochwałę wiosny: „Zielono mam w głowie i fiołki w niej kwitną [...]”

Poezja doskonale wprowadza nas w upojny i niemal narkotyczny klimat czerwca. Ja – myśląc o tym, co będzie – jestem wyjątkowo rozstrojony. Pamiętam minione lata. Jedne dni znaczone były ciepłem, słońcem i błękitem nieba, drugie falami dojmującego chłodu i wręcz apokaliptycznymi chmurami niosącymi ostre deszcze. Jedne mijały pod znakiem szarżyzny: przy

umiarkowanej temperaturze powietrza, to pojawiał się nieśmiało jakiś promyk słońca, to znów odsłaniała się tam nad nami, na górze jakaś inna rzeczywistość. Bywało, że niebo darzyło nas słynnym, siąpiącym najczęściej na Podhalu „kapuśniakiem”.

Widocznie tak już musi być. Może jest to taka natura czerwca, który zamyka wiosnę, a inauguruje sezon letni... Jedno z przysłów ludowych podnosi zmienność pogody jako cechę przyrodzoną tego miesiąca: „Wiatry i ludzie czerwcowi do odmiany wciąż gotowi”; „Czerwiec na maju zwykle się wzoruje, jego pluch, pogody, często naśladuje”; „Gdy czerwiec chłodem i wodą szafuje, to zwykle rok cały popsuje”; „Pełnia czerwcową – burza gotowa”... Inne przysłowia niepogody tego czasu każą brać za dobrą monetę, gdyż: „Czerwiec mokry, zimny maj, gospodarzom pewny raj” lub „Grzmoty czerwca rozweselają rolnikom serca”. Jeszcze inne niosą nadzieję: „Czerwiec daje dni gorące, kosa brzęczy już na łące”; „Od czerwca dużo zależy, czy żniwa będą jak należy”; „Kiedy kwitnie w czerwcu bób, to największy wtedy głód, a kiedy mak, to już nie tak”; „W czerwcu grusze kwiat zrzucają, czereśnie się zapalają”.

Czerwiec ma swoje przysłowia. ale ma także swoją poezję sławiącą urok jego długich dni i krótkich nocy wypełnionych po brzegi pulsującym życiem, kreowaniem nowych form istnienia i ich utrwalaniem się w świecie. Wspomniany wyżej Kazimierz Wierzyński w wierszu *Czerwiec*, pomieszczonym w tomiku

Korzec maku (1951) powraca do swojego dawnego, w czas wojny zagubionego, witalizmu, którym przed dziesięcioleciem entuzjastycznie witał wiosnę Niepodległości. Píše:

Może nie szukać wróżby w zodiaku

Tylko tuż obok, na długość rąk:

Czerwiec jest wylęgarnią ptaków

I miodosytnią łąk.

*

Na koniczynie, na czwartym listku

Najwyraźniej wypisane to wszystko

I każda wesoła

Wie o tym pliszka, trawa i pszczoła.

Inny poeta - Mieczysław Jastrun - reprezentant innej już szkoły twórczej i w innym też czasie: *Dzieje nieostygłe* - 1935) w czterozwrotkowym wierszu *Od czerwca* nie mógł się także

wyzwolić, bo i nie próbował, z narkotycznych uroków świata w fazie przechodzenia wiosny w lato:

Powraca znowu to widzenie

Zbóż opylonych:

Po kłosach ptak przeleciał cieniem,

Chwieje się mak czerwony,

[...]

W półkolu żółtych słoneczników,

Na alkoholach lata,

Nabijasz mnie na różę dziką.

Na palach i na kwiatach.

Czerwiec – jak powiedziałem – jestznaczony zmienną pogodą, urokiem przyrody, mądrymi przysłowiami i świeżością metafor poświęconych mu wierszy. Pośród przywołanego tu bogactwa nie można w żadnym przypadku zagubić tego, co w planie życia zbiorowego przynosiła nam historia, znacząc nasze tęsknoty i

dążenia do godnego, opartego na pełnej podmiotowości bytu krwawym pasmem ofiar. Nie można zapomnieć poległych w latach pięćdziesiątych zarówno w wydarzeniach poznańskich, jak i węgierskich ludzi. Ich twarze na nas patrzą oczekując od nas mądrości, uporczywości i konsekwencji w procesie wypierania autokracji i totalitaryzmu. Nie można spać upojnym snem, cieszyć się euforycznie z dostatku i w miarę wygodnego życia wówczas, gdy na świecie szerzą się: gwałt, hipokryzja polityczna, egoizm, cynizm. Nie można zamknąć się psychicznie w wieży z kości słoniowej, kiedy lista naszych narodowych „grzechów głównych” jest większa od przysłowiowej „siódemki”.

Nie ma innego sposobu na zbiorowe życie, jak dialog, jak próba jednego człowieka zrozumienia drugiego. Wytrwale, cierpliwie, bezustannie. Całkiem humanitarne jest przywracanie pośmiertnej czci niesłusznie skazanym, ale prawdziwą cnotą człowieka, jego kategorycznym obowiązkiem, jego powinnością okazuje się robienie wszystkiego, by gwałt, brutalność, przemoc, pomówienie nie były metodami dowodzenia czyichś racji.

W tym, co piszę jest smutek, gorycz, ale i nadzieja. Może od przyrody nauczymy się czegoś. Właśnie zafascynowania życiem, jakie płynie w dynamicznym rytmie czerwcowych dni i nocy.

Na koniec muszę wrócić do księdza Jana Twardowskiego. W naszych kontaktach zwracałem się do Niego to „Księżę

Rektorze”, to znów „Księżu Janie”. Ubawił się, gdy Mu powiedziałem, iż cieszę się, że „nie jest klechą”, lecz prawdziwym duchownym. Chyba najbardziej podobał Mu się zwrot „Księżu Janie... z Czarnolasu”.

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*

Zobacz też:

Rozkwit poezji w maju

Kwiecień – bohater literacki

Chopin zabrzmie w sieci



Hubert Rutkowski, fot. **Timur Gatos/Chopin Festival**

Hamburg

Jolanta Łada-Zielke (*Hamburg*)

Niemieckie sale koncertowe i sceny operowe powoli otwierają

swoje podwoje dla słuchaczy, którzy mogą już obcować z muzyką „na żywo”. Na razie na widownię wpuszczane są osoby z negatywnym wynikiem testu na obecność koronawirusa, a ilość widzów jest ograniczona. Dlatego niektóre imprezy muzyczne odbywają się jeszcze online, ale dzięki temu docierają do szerszej publiczności. W przypadku Festiwalu Chopinowskiego w Hamburgu, którego specjalną, trzecią edycję będzie można obejrzeć w dniach od 11 do 13 czerwca 2021 r., dochodzi tu jeszcze jedna zaleta: precyzja brzmienia historycznych i nowoczesnych instrumentów, które będą zestawiane ze sobą w nietypowych kombinacjach. Na Festiwalu wystąpią światowej sławy pianiści: Mari Kodama, Severin von Eckardstein, Tomasz Ritter, Stepan Simonian, Dina Yoffe (która poprowadzi kurs mistrzowski dla studentów Wyższej Szkoły Muzycznej i Teatralnej) oraz klawesynista Menno van Delft. Instrumenty i sale koncertowe udostępni Muzeum Sztuki i Rzemiosła w Hamburgu. Pomysłodawcą, intendentem i uczestnikiem Festiwalu jest profesor Hubert Rutkowski z Wyższej Szkoły Muzycznej i Teatralnej w Hamburgu, Prezes Towarzystwa Chopinowskiego Hamburg & Sachsenwald, który opowie więcej o tym wydarzeniu muzycznym.



Hubert Rutkowski, fot. **Timur Gatos/Chopin Festival
Hamburg**

Jolanta Łada-Zielke:

Dwie pierwsze edycje festiwalu odbyły się jeszcze przed pandemią, w 2018 i w 2019 roku. Czym szczególnym wyróżnia się obecna?

Hubert Rutkowski:

Specjalnością naszego festiwalu jest prezentacja nie tylko wybitnych artystów, ale i instrumentów, zarówno współczesnych, jak i historycznych. Od samego początku współpracujemy z *Museum für Kunst und Gewerbe* (Muzeum Sztuki i Rzemiosła) w Hamburgu, które udostępnia nam historyczne instrumenty. Mając do dyspozycji starsze i nowoczesne modele, dokonujemy swego rodzaju konfrontacji tych dwóch światów dźwiękowych. Myślę, że trzecia edycja naszej imprezy, w trakcie pandemii, może zyskać przez fakt, że wszystkie koncerty będą transmitowane na żywo. Dzięki temu nasz przekaz dotrze do większej liczby odbiorców.

W tym roku prezentują Państwo twórczość Chopina w różnych kontekstach, nie tylko w romantycznym, lecz także w barokowym, bo jednym z gościnnie występujących artystów jest klawesynista z Holandii Menno van Delft. Czy to rodzaj eksperymentu, czy celowy zabieg?

Jedno i drugie. Związek Chopina z muzyką barokową jest bardzo silny, ponieważ Bach był dla niego niesamowicie istotnym i ważnym kompozytorem. Granie muzyki Bacha i inspirowanie się nim stanowi ważny aspekt w twórczości Chopina. Z drugiej strony rzeczywiście przeprowadzamy pewien eksperyment, dlatego że na jednym z koncertów zabrzmiał oryginalny, historyczny klawesyn Zell z 1728 roku, w zestawieniu ze współczesnym fortepianem Shigeru-Kawai. Menno van Delft i

Stepan Simonian wykonają nie tylko te same utwory na obu instrumentach, ale nawet kilka z nich zagrają równocześnie. Dla niektórych jest to wręcz niedopuszczalne, że historyczny klawesyn gra *unisono* ze współczesnym fortepianem. My jednak podejmujemy się takiego eksperymentu, zwłaszcza że oba te instrumenty będą zestrojone w stroju barokowym. To też bardzo ciekawy zabieg, który przy normalnej, koncertowej akustyce, mógłby się nie sprawdzić. Natomiast podczas naszego koncertu, to urozmaicone brzmienie będzie mogło dotrzeć do słuchacza w bardzo precyzyjny sposób, dzięki technice *live stream* i profesjonalnej realizacji dźwięku.

Drugi kontekst jest późnoromantyczny: Debussy, Rachmaninow, Saint-Saens, a więc kompozytorzy, którzy mogli inspirować się muzyką Chopina.

Absolutnie tak, bo to jest festiwal pianistyczny, który prezentuje muzykę fortepianową w różnych kontekstach. Podczas koncertu inauguracyjnego wykonam razem z Severinem von Eckardsteinem utwory uważane za największe osiągnięcia literatury pianistycznej na dwa fortepiany. W programie znajdzie się suita Rachmaninowa, „Dance macabre” Saint-Saënsa, Rondo Chopina i Sonata Mozarta. Zaprezentujemy brzmienie fortepianu i jego możliwości w obsadzie duetowej.

Jeśli chodzi o rozwój budowy fortepianów, to w ciągu

ostatnich dwustu lat głębokość zapadania się klawiszy zwiększyła się z 5-6 do 10 mm. Wynika stąd, że dziś pianiści muszą zwiększyć siłę nacisku. Muzyka Chopina wymaga jednak pewnej lekkości, choć jest momentami dramatyczna. Czy wobec tego łatwiej jest grać Chopina na instrumencie historycznym, niż na nowoczesnym?

To zależy od utworów i od właściwości konkretnego instrumentu. Z czysto technicznego punktu widzenia, niektóre wirtuozowskie dzieła łatwiej jest zagrać na fortepianie współczesnym, bo posiada on bardziej doskonały mechanizm, który niejako „pomaga” pianiście. Mimo, że głębokość zapadania się klawiszy jest większa, ma się do dyspozycji mechanizm tzw. podwójnej repetycji, można więc bardziej zdać się na instrument, który pomoże nam wydobyć pewne efekty bez specjalnego wysiłku z naszej strony. Na fortepianie historycznym należy grać z niesamowitą precyzją, bo jego mechanika nie jest tak doskonała. Trzeba bardzo się napracować, żeby jakość dźwięku była dokładnie taka, o jaką chodzi. Z drugiej strony uwagi, jakie Chopin zapisał w tekście swoich partytur, nie są do końca możliwe do zrealizowania na współczesnym instrumencie. Na fortepianie Pleyela (1847), albo Èrarda (1880) pewne efekty pojawiają się w sposób naturalny, podczas gdy dla nowoczesnego instrumentu musielibyśmy je specjalnie zaaranżować. Ten temat jest bardzo szeroki i nie ma jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie.

Ale studenci biorący udział w warsztatowej części festiwalu będą grać na nowoczesnym modelu Shigeru-Kawai?

Oczywiście. Cała sztuka polega na przeniesieniu doświadczenia nabytego w grze na instrumentach historycznych na fortepian współczesny. Dina Yoffe, która będzie prowadzić kurs mistrzowski, ma bardzo bogate doświadczenie w tym zakresie. Znane są nagrania utworów, które wykonywała na fortepianie historycznym.

Muzykę Fryderyka Chopina szczególnie lubią Słowianie i melomani z krajów azjatyckich. A jak odbierają go Niemcy, którzy mają aż tylu wybitnych kompozytorów?

W środowisku zawodowych muzyków Chopin należy bezzwzględnie do kanonu najwyższych standardów, a wśród pianistów znajomość jego utworów jest obowiązkowa. Natomiast dla przeciętnych melomanów, którzy chodzą na koncerty, ale nie mają pogłębionej wiedzy muzycznej, Chopin niekoniecznie znajduje się na pierwszym planie. Dlatego celem naszego festiwalu jest również pokazanie i zaakcentowanie postaci Fryderyka Chopina w Hamburgu – mieście Felixa Mendelssohna i Johannes Brahmsa, które leży w połowie drogi między Paryżem a Warszawą. Chopin jest bowiem bardzo ważną postacią zarówno dla pianistyki, jak i pedagogiki pianistycznej oraz kompozycji.



Hubert Rutkowski, fot. **Timur Gatos/Chopin Festival Hamburg**

Hamburg jest także miastem Carla Philippa Emanuela Bacha, chociaż utwory fortepianowe stanowią niewielką część jego twórczości.

Tak, ale napisał za to bardzo ważną pracę pod tytułem *Versuch über die wahre Art das Clavier zu spielen*. Tę książkę można wręcz potraktować jako pierwszy podręcznik do gry na instrumentach klawiszowych. Carl Philipp Emanuel Bach miał więc ważny wpływ na rozwój pianistyki.

Wracając do Fryderyka Chopina, niektórzy Niemcy

(najczęściej niezwiązani z muzyką) nie zdają sobie sprawy z jego narodowości i są bardzo zdziwieni dowiadując się, że był polskim kompozytorem.

Ja mam na to świetną odpowiedź, mianowicie, że Chopin był Rosjaninem. Urodził się pod zaborem rosyjskim i opuszczał Polskę w 1830 roku z rosyjskim paszportem.

Ale czasem i zawodowi muzycy popełniają gaffy. Christian Thielemann w swojej najnowszej książce *Meine Reise zu Beethoven* wyraża przypuszczenie, że jeżeli Chopin w ogóle znał i grywał Beethovena, to prawdopodobnie go nie cenił. Skąd taka opinia może wynikać?

To oczywiście nieprawda, ale w Niemczech funkcjonuje jeszcze pewien stereotyp, że Chopin to kompozytor bardziej „salonowy”, że jego muzyka jest „zu süß” (za słodka). Nasz festiwal służy również temu, żeby obalać podobne stereotypy.

Zapraszam serdecznie wszystkich miłośników muzyki fortepianowej do wysłuchania niestandardowego, oryginalnego Festiwalu Chopinowskiego w Hamburgu, w wydaniu specjalnym *live stream online*, z eksperymentami i nieoczekiwanymi zwrotami programowymi.

Dziękuję za rozmowę.

Program festiwalu oraz transmisje poszczególnych koncertów i warsztatów pianistycznych są dostępne na stronie internetowej: www.chopin-festival.de

<https://www.chopin-festival.de/2021.php>

*

Zobacz też:

Chopin odpowie miłością

Edward Baran –

wspomnienie

13 lutego 1934 r., Lesko - 13 maja 2021 r., Angers
(Francja)



Edward Baran na tle swojej pracy
Henryka Milczanowska

historyk sztuki, kurator

Fundacja dla Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989, Warszawa

To, co ja dzisiaj odczuwam, patrząc po latach na te moje „beztroskie papiery”, na te ich szlachetną beznadziejność materii, która je tworzy, to pewien żal za straconym czasem – przeżyтым, równie „wyrwanym” w moim życiu, dla pewniej poetyki plastycznej i wyrazu, które wdzierają się w strefę ustalonego konwencjonalnego „artyzmu”, i którą tak niewiele ludzi w ogóle zauważa, bo zostanie po moim życiu tak mało tego „t w a r d e g o”, wiszącego na solidnym gwoździu.

*

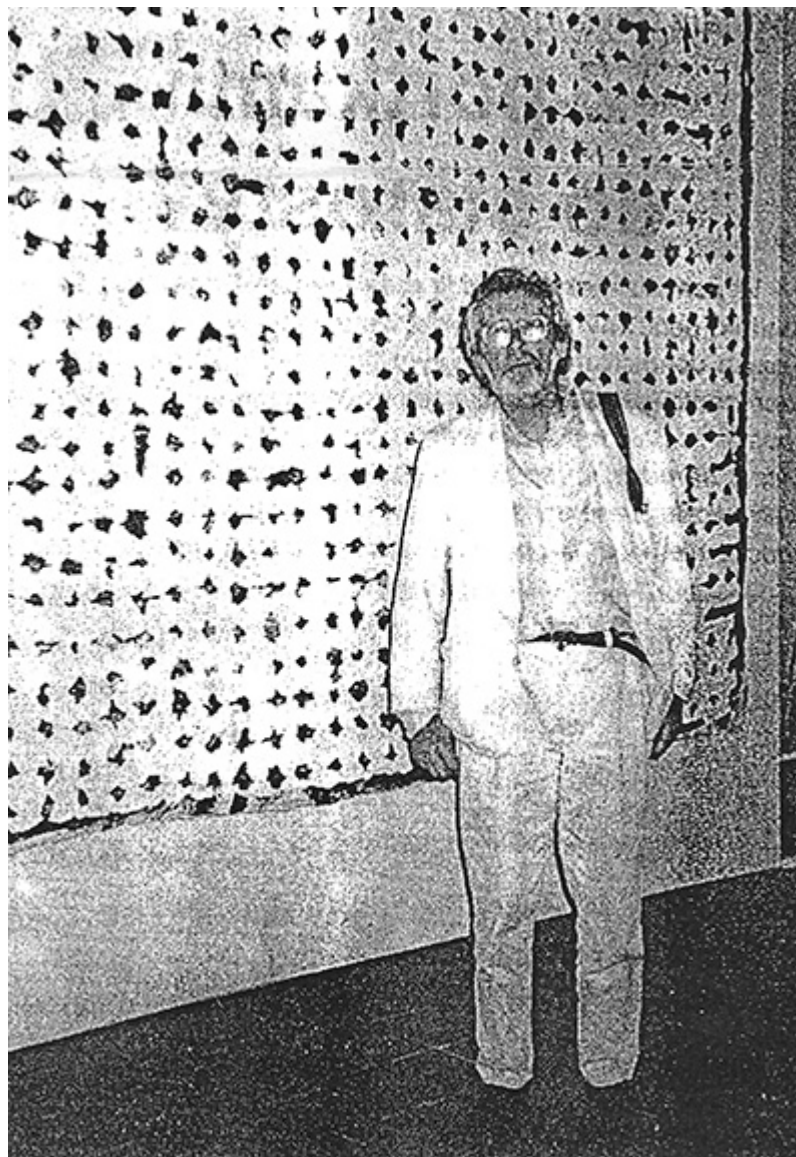
Edward Baran, maj 2019 r.

Gdy odchodzi Artysta, zostaje po nim pusta pracownia i Jego dzieła. To bardzo dużo! Całe bogactwo świata duchowego twórcy. Materialna obecność nieobecnego.

Znaliśmy się od pierwszej wystawy, którą mu aranżowałam w

2000 roku. W Muzeum Historycznym w Sanoku. W ogromnym XVI-wiecznym zamku trwały długie przygotowania do zawieszenia Jego obrazów, w większości wielkich rozmiarów, sześć na trzy metry. Pamiętam te emocje kiedy otworzyłam pierwszy obraz, rozwinęłam rulon i poczułam, jakby runął na mnie las. Tytuł dzieła: *Czy lubicie drzewa? Czy lubię drzewa?!* Kocham ten obraz! Już wtedy to ogromne i zarazem delikatne w swej materii dzieło miało swoją ekspozycyjną, bogatą historię. Było prezentowane w 1980 roku na niezwykle prestiżowej wystawie *L'art aujourd'hui 1 (Kunst i dag 1)*, która odbyła się w 1980 roku w galerii *Ordurpgaar Samlingen* w Charlottenlund w Kopenhadze. Obok pracy Edwarda *Czy lubicie drzewa?* znalazły się tam również dzieła tak wówczas ważnych artystów francuskich, jak Pierre Buraglio, Jean-Michel Meurice, czy Claude Vialat. Naturalnie, po tym co zobaczyłam, czyli ponad 100 przywiezionych obrazów, byłam bardzo ciekawa Artysty! Przyjechał tuż przed wystawą i pierwsze o co poprosił, to o katalog wystawy, a w nim był mój tekst... Spacerowaliśmy po zamkowym dziedzińcu. On przeprosił, że się na chwile oddali, bo musi przeczytać na osobności. Usiadł na ławeczce, pochylony nad tekstem, czytał w skupieniu. Od tego dnia rozpoczęła się nasza długoletnia przyjaźń. Dwadzieścia lat rozmów głównie przez telefon, bogata korespondencja obfitująca w rozważania teoretyczne na temat miejsca jego malarstwa w sztuce. Było też kilka wizyt tam we Francji i tu w Warszawie. Kilka autorskich projektów wystaw w muzeach i galeriach w Polsce.

Niewątpliwie wcześniejsze wystawy w kraju, szczególnie ta w Zachęcie w 1991 roku, pt. *Jesteśmy* pozwoliła znów zaistnieć Artyście na polskiej scenie wystawienniczej. Wkrótce po niej zaproponowano mu wystawę indywidualną w Galerii Kordegarda, na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, a stamtąd zachęcony otwartością przyjęcia i organizacji wystaw, zwrócił się w kierunku miejsca urodzenia i nawiązał kontakty z galeriami w Polsce południowo wschodniej. I tu skrzyżowały się nasze drogi, poglądy i rozumienie sztuki, którą kreował. Po sanockiej wystawie były kolejne miejsca, Galeria STUDIO w Warszawie, Galeria Grodzka w Lublinie i one dawały nadzieję na taką samą popularność sztuki Edwarda Barana w Polsce, jaką cieszył się we Francji. W 2009 roku najbardziej jak dotąd zaangażował się w organizację wystawy w Galerii West, w Warszawie, gdzie we wspólnym udziale dzieł dwóch polskich artystek Ariki Madeyskiej i Marii Papy Rostkowskiej niemal samodzielnie zaaranżował ekspozycję, przywożąc obrazy własnym samochodem z dalekiej Francji. Emocje, zaangażowanie, wiara w sens artystycznego powrotu do kraju i chęć udowodnienia, że jestem tu, działał miało swój wielki przekaz w tytule wystawy: *Oni wybrali Paryż*. Spotkanie po latach z dawnymi kolegami, przyjaciółmi, profesorami warszawskiej Akademii, przyniosło zawód i smutek. Brak porozumienia, a nawet niezrozumienia na płaszczyźnie twórczej i osobistej spowodował ponowne oddalenie się od ojczyzny.



Edward Baran na tle obrazu „Czy lubicie drzewa”, przed wernisażem w Muzeum Historycznym, Sanok, 2000

Mijają właśnie dwa lata (2019) od ostatniej wizyty w kraju Edwarda Barana, która odbyła się przy okazji wystawy zorganizowanej we współpracy dwóch instytucji, Fundacji dla Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989 i Muzeum Papiernictwa w Dusznikach. Dzisiaj już wiemy, że była to ostatnia wystawa z udziałem Artysty, spotkanie z widzami, przyjaciółmi i rodziną. Takie małe pożegnanie, choć wówczas byliśmy pełni nadziei, że będą kolejne wystawy w Polsce, nowi odbiorcy, zainteresowanie

krytyki artystycznej, na której tak Artyscie zależało. Krótco po tej wystawie pojawił się artykuł w „Culture Avenue”, szerzej prezentujący czytelnikom Dusznickie wydarzenie. Zawierał kilka cytowanych wypowiedzi Artysty o własnej twórczości, emigracji i wystawach, które były, a także o tych zaplanowanych, w których, jak dzisiaj wiemy, nie będzie uczestniczył.

W ostatnich kilkunastu latach, nie było nic tak świadomego w twórczości Edwarda Barana, jak poczucie uciekającego czasu, który niejako symbolicznie sam się „wplatał” w każdy kolejny nowopowstający obraz. Najbardziej było to widać w rozmiarach obrazów, były coraz mniejsze, bo dłonie były coraz mniej sprawne. Ostatecznie powrócił do klasycznego malarstwa, płótno i pędzel, jak wtedy, gdy na początku świadomie od niego odszedł – *bo taka zaistniała wtedy potrzeba, a teraz pędzel łatwiej utrzymać.*



Edward Baran i Henryka Milczanowska, 18 czerwca 2017 r.



Wernisaż w Muzeum Papiernictwa w Dusznikach 2019, Edward Baran i Ewa Bobrowska

Historia życia tego niezwykłego twórcy, malarza – emigranta jest wciąż niedostatecznie znana w kręgu odbiorców w Polsce. Obrazy są bardziej rozpoznawalne głównie ze względu na oryginalną technikę wykonania, pojawiają się w dużej liczbie na internetowych stronach międzynarodowych galerii, w relacjach z dawnych i aktualnych wystaw w muzeach. W latach 70. i 80. kiedy kariera artystyczna i zawodowa Edwarda Barana rozwijała się z sukcesami nie potrzebował szczególnej reklamy swoich działań. Liczne wystawy indywidualne, we Francji, Danii i Szwecji, otworzyły mu drogę do najważniejszych galerii w Europie. Stabilność finansową zapewniała Szkoła Sztuk Pięknych w Angers, gdzie podjął pracę w 1979 roku, na stanowisku profesora rysunku i kompozycji. Z czasem, jak powiadał świat się zmienia, komercjalizuje, a On nie dbał o swoją medialną popularność. Wierzył, że każdy kto posiada odrobinę wrażliwości i zrozumie sens jego sztuki, znajdzie drogę do niego i do Jego pracowni. W części katalogu wystawy, pt. *W przestrzeni papieru*, w Muzeum Papiernictwa w Dusznikach znajduje się *Kalendarium życia i twórczości Artysty*, w opracowaniu dr Ewy Bobrowskiej. Jest to jedyny wydany w języku polskim, tak szczegółowy opis życia Edwarda Barana z bogatym komentarzem autorki. Podczas wystawy Artysta został uhonorowany muzealnym tytułem *Ojca Sztuki Papieru w Polsce*.

*

Cytaty pochodzą z listów i nagranych rozmów autorki z Artystą.

O wystawie Edwarda Barana w Dusznikach:

W przestrzeni papieru. Edward Baran.

**Wieczorne rozmowy
z wnukami
w trudnym czasie**



Okładka książki Kazimierza Brauna

Nakładem Wydawnictwa 3DOM ukazała się w tym roku pozycja, która objaśnia młodemu pokoleniu tradycję i patriotyzm. Kazimierz Braun w publikacji zawarł osobiste rozmowy z wnukami, opowiada im o swoim życiu i życiu członków rodziny, kim byli i jakimi wartościami się kierowali. Autor tłumaczy, na czym polega lojalność, odwaga, miłość, rodzina i poświęcenie. To jest książka nie tylko dla dzieci, dorośli też przeczytają ją z dużym zainteresowaniem. Ważnym przesłaniem książki jest uświadomienie rodzicom, że z dziećmi, nawet tymi bardzo małymi, trzeba rozmawiać, opowiadać, kim byli przodkowie, tłumaczyć trudne sytuacje, bo przecież to dorośli kształtują nowe pokolenie. Zalew zbędnych informacji, którymi atakowany jest

młody człowiek, nie da mu oparcia, poczucia własnej tożsamości i swoich korzeni. Rodzice, często zabiegani w pogoni za przyszłością, zmęczeni codziennymi troskami, nie znajdują czasu na długie rozmowy z dziećmi. Dziadkowie są na innym życiowym etapie, więc to oni mogą się zająć edukacją swoich wnuków. Kazimierz Braun jest dramaturgiem, reżyserem teatralnym, pisarzem, a także profesorem i wykładowcą akademickim. Wykładał m.in. na Uniwersytecie Wrocławskim, New York University, Uniwersytecie Kalifornijskim (w Santa Cruz) i przez wiele lat na University at Buffalo. Mimo wielu lat spędzonych na emigracji, ojczyzna i więzi rodzinne są dla niego bardzo ważne. *(Joanna Sokołowska-Gwizdka, red.).*

Kazimierz Braun *(Buffalo)*

PROLOG

Miałem w moim, już długim życiu, Bożą Łaskę, niezmiernie szczęście i wielki przywilej opowiadania moim dzieciom i wnukom różnych historii, wspomnień, bajek. Wydobywałem je z własnej pamięci, a także z wyobraźni, z historii rodziny i kraju. Wypłacałem się w ten sposób za te dary jakimi ubogacali mnie kiedyś moi rodzice, Juliusz i Elżbieta z Szymanowskich, a także babcia Henryka Braunowa, która mieszkała latami w naszych domach rodzinnych. Dziadka Karola Brauna nie znałem. Zmarł przed moim narodzeniem. Natomiast dziadek Michał Szymanowski, w którego dworze, w Mokrsku Dolnym nad Nidą,

urodziłem się, był najpierw dla małego wnuka dalekim, wyniosłym punktem odniesienia w porządkowaniu dzieciennego świata, ale później, gdy już ograbiony przez tzw. „reformę rolną” ze swego majątku zamieszkał w jednym sublokatorskim pokoju w Kielcach, zapraszał mnie często do siebie i wtedy obdarzał mnie opowiadaniem o życiu, jakie było przed wojną – przed okupacją niemiecką i przed okupacją sowiecką, jak nazywał zaprowadzone w Polsce komunistyczne rządy.

Gdy zeszliśmy się z Zofią Reklewską, to okazało się, że pochodzimy z podobnych okolic. Ja urodziłem się w Kieleckiem, i całe dzieciństwo spędziłem w tamtych stronach, w leśnym domu w Milechowach, a ona, wprawdzie urodziła się w Warszawie, ale jako dziecko mieszkała w Sandomierskiem, w Mirogonowicach, we dworze swoich rodziców Wincentego i Anny Reklewskiej z Wasiutyńskich, przy czym jej ojciec prawie tuż po jej urodzeniu został zamordowany przez komunistycznych bandytów.

Gdy w naszym życiu małżeńskim otrzymaliśmy dar dzieci, to moje wieczorne opowiadania Monisi, Grzesiowi, Justysi stały się prawie-że niezbędnym rytuałem rytmu rodzinnego dnia, potrzebnym do tego stopnia, że gdy kroił się jakiś mój wyjazd z domu na dłużej (a to zdarzało się – teraz sędzę – zbyt często), to nagrywałem wieczorne opowiadanki na kasetę, a Zosia odtwarzała je wieczorami dzieciom.

Lata mijały, nasze dzieci rosły. Pojawiały się ich dzieci. Siadałem przy łóżeczku małej Ani, potem małej Asi, a potem małej Anielki – córek naszej córki Moniki. Potem takie dobre chwile dane mi było dzielić z córkami naszej córki Justyny – Zosią i Lilką. Z nimi – tak się to ułożyło w naszym życiu rodzinnym – byliśmy blisko, i jesteśmy – od samego ich urodzenia, i nadal, gdy już stają się panienkami. Nadal są okazje do wieczornych, i nie tylko wieczornych, opowiadań.

Jestem wszystkim tym dzieciom niezmiernie wdzięczny, że zechciały mnie obdarzać swoją uwagą, że jakoś przydawałem się im do podciągnięcia pod brodę kołderki, poprawienia poduszcзки, wygładzenia wyobraźni rozbrykanej w ciągu dnia, przywołania w ich pobliże Anioła Stróża, ale także do wywołania z przeszłości tych, z którymi teraz nie mogą się spotkać, a którzy jednak czuwają nad ich snem.

Ta książeczka powstała z tęsknoty za takimi chwilami także przy łóżeczkach Alka i Helenki, dzieci mego syna Grzegorza i jego żony Aleksandry. Chciałbym, aby przydała się im dwojgu i ich dzieciom, a może i innym rodzicom, i innym dzieciom.

W czasie, w którym piszę te słowa – a jest to straszny i tajemniczy czas zarazy, jedni zowią go epidemią, inni pandemią, a jeszcze inni, po prostu, wojną – dorośli i starsi spędzają, nawet i przymusowo, więcej czasu w domu. Siadają wieczorami przy

małych łóżeczkach. A dzieci właśnie w takim czasie bardzo potrzebują – nie rozumiejąc przecież, co się wokół nich dzieje – obecności, ciepła, uwagi i słowa dorosłych.

Mam nadzieję, że te wieczorne rozmowy z moimi wnukami, pozostając w kręgu historii jednej rodziny, zawierają w sobie ziarna, które można zasiać w ogrodach innych rodzin. Próbuję bowiem opowiadać nie tylko o ludziach i zdarzeniach, ale także, bardziej ogólnie, o wierności, odwadze, troskliwości, pracowitości, o bardzo prostym i oczywistym trwaniu przy wierze, wartościach i zasadach, o pielęgnowaniu tradycji. A także, te moje opowiadanki mogą się może przydać, jako swego rodzaju mapa drogowa, która posłuży moim dorosłym czytelnikom w wyprawach szlakami ich własnej pamięci. (...)



Rzeźba dziadka z wnukiem, fot. Birkenhain z Pixabay
ROZMOWY Z ALKIEM

Dzielny pradziadek Juliusz

Tego wieczora, jak tylko usiadłem przy łóżeczku Alka, powiedziałem od razu:

- Dzisiaj, Alku, opowiem ci o twoim pradziadku. Był ojcem twojego dziadka, to jest moim ojcem. Na imię miał Juliusz. Na

drugie imię Henryk. Nazwisko nosił takie same jak ty, jak twój ojciec.

- Ja jestem Aleksander Braun. Aleksander Wincenty Braun - powiedział poważnie Alek. Ja wiem jak się nazywam. Ja to wiem bardzo dobrze.

- A on, twój pradziadek, nazywał się Juliusz Henryk Braun. Pod koniec życia był profesorem, uczył studentów, wiesz, o kimś takim mówi się „nauczyciel akademicki”. Ty masz nauczycielki w przedszkolu. Teraz twoją nauczycielką jest twoja mamusia, prawda? Bo przedszkole zamknięte, więc uczysz się w domu. Zanim został nauczycielem akademickim twój pradziadek był prawnikiem. Takie uzyskał wykształcenie, to znaczy, tego się nauczył, to robił.

- Kim, dziadku, był pradziadek? Prawnikiem?

- Tak, prawnikiem. To znaczy, że znał prawo i pomagał ludziom przestrzegać prawa. Prawo mówi o tym, co wolno, a czego nie wolno. Jak ktoś zrobi coś, czego nie wolno robić, to może być postawiony przed sądem.

- To on był sędzią? - zapytał Alek. - Bo ja wiem, że w sądzie jest sędzia. I na boisku piłkarskim jest sędzia. Czy on był sędzią piłkarskim?

- On nie był sędzią. Był obrońcą. I nie na boisku, tylko w sądzie.
- Obrońcy to są na boisku - skonstatował autorytatywnie Alek. - Oni grają z tyłu, za nimi jest tylko bramkarz, a z przodu grają napastnicy. Lewandowski!
- W sądzie też są obrońcy - starałem się przekonać małego rozmówcę. - Widzisz, jak jakiś człowiek staje przed sądem, to sędzi go sędzia. Ale jest także jeden taki prawnik, mówi się o nim prokurator, który przedstawia sędziemu winy tego człowieka, oskarża go. A drugi prawnik, który nazywa się adwokat, broni go przed tymi oskarżeniami. Sędzia słucha co mówi oskarżony, co mówi prokurator, co mówi adwokat. A potem wydaje wyrok. Kiedyś będziemy musieli dłużej porozmawiać o sądeniu, o sądach, o tym, co się nazywa „wymiar sprawiedliwości.” Często, niestety, to jest raczej wymiar niesprawiedliwości. Ale teraz powiem ci tylko, że twój pradziadek był obrońcą, adwokatem. Bronił ludzi w sądach. Pomagał ludziom w ten sposób. Żył długo. Zrobił wiele dobrego. Wiele też wycierpiał.

Gdy to powiedziałem - natychmiast opadły mnie wspomnienia tych strasznych chwil - obrazów: aresztowanie ojca przez gestapowców; aresztowanie ojca przez ubeków; ogłoszenie wyroku na ojca - właśnie: niesprawiedliwego wyroku - przez komunistyczny sąd wojskowy; widzenia z ojcem w więzieniu. I ten moment, jak cios: siedzimy nad rzeką Wierną po kąpieli w

letnie popołudnie. Są rodzice, dzieci, i jest już z nami Zosia, moja młoda żona. Wszyscy jesteśmy w kostiumach kąpielowych. I ona nagle, tak po prostu, pyta ojca, z głębi swojej troski o niego i miłości do niego – nie pamiętam dokładnie jej słów – pyta o zauważone nagle blizny na jego plecach i piersiach. Pamiętam słowa ojca – krótkie, tylko informacyjne, jakby bezosobowe, jakby to nie było o nim: to z ubeckich przesłuchań na Mokotowie.

Nie pozwoliłem jednak swojej myśli kołatać się po tych ciemnych zaułkach. Z wysiłkiem zamknąłem wieko studni pamięci.

Powiedziałem tylko:

- Wiele mam ci, Alku, do opowiedzenia o twoim pradziadku. Jak Pan Bóg da to jeszcze znajdzie się na to czas. Dzisiaj opowiem ci jak był żołnierzem.

- Miał karabin? Ja mam pudełko ołowianych żołnierzyków – pochwalił się Alek.

- Miał karabin. Gdy służył jako wartownik. Gdy służył jako kierowca wojskowy to miał pistolet. Bo to było tak, Alku, że za jego życia były dwie wielkie wojny na świecie, w Polsce. I on, twój pradziadek, w czasie pierwszej z tych wojen był za młody, aby pójść do regularnego wojska, ale chciał walczyć o Polskę, więc zgłosił się jako ochotnik – to znaczy sam tak chciał, choć nie musiał – do harcerskiej służby wartowniczej, bo był harcerzem. I

tam dostał karabin. I był żołnierzem. A gdy wybuchła druga wojna, gdy Niemcy napadli na Polskę, to pradziadek był tym razem już za stary, aby otrzymać powołanie do wojska. Ale znów zgłosił się sam, jako ochotnik. Znów chciał walczyć o Polskę. Zgłosił się do wojska ze swoim samochodem. Ponieważ był to dobry samochód, mercedes, więc został oddany do użytku generałowi, dowódcy jednej z polskich armii. I w ten sposób twój pradziadek został kierowcą tego generała. Wtedy otrzymał pistolet.

Polska walczyła z Niemcami przez kilka tygodni. Armia tego generała wykazała się szczególnym bohaterstwem. Ale ostatecznie została otoczona ze wszystkich stron przez przeważające siły niemieckie. Generał, dowódca armii, postanowił się poddać i poddać resztki swych wojsk. To znaczy przestać walczyć, po to, aby uratować życie tych żołnierzy, którzy mu jeszcze pozostali. Wszyscy dostali się do niewoli – wszyscy żołnierze, generał, a także jego kierowca, twój pradziadek.

Niemcy urządzili dla nich wszystkich prowizoryczny obóz jeniecki na jakiejś wielkiej łące. Wyobraź to sobie: wielka łąka, a na niej stoi wiele polskich, wojskowych samochodów osobowych i ciężarowych rozrzuconych chaotycznie, w tym mercedes twego pradziadka. Na łące kłębią się grupami i pojedynczo polscy oficerowie i żołnierze – bez broni. Bo są jeńcami. Łąka otoczona

jest drutem kolczastym umocowanym do świeżo wbitych w ziemię drewnianych palików – tak jakby to było wielkie pastwisko. Tylko, że zamiast bydła są na nim ludzie. Poza drutami, na zewnątrz, rozsiane są gęsto niemieckie posterunki z ciężkimi karabinami maszynowymi wycelowanymi w łąkę, w tych ludzi. Na zewnątrz drutów przechadzają się niemieccy wartownicy. A za nimi, tworząc ogromny pierścień, stoją niemieckie czołgi z lufami także wycelowanymi na tych ludzi. Opowiadałem ci kiedyś, Alku, o czołgach rosyjskich, które podpełzały do naszego zimowego lasu pod koniec tej właśnie wojny. A to, co ci teraz opowiadam, wydarzyło się na jej początku, a czołgi były niemieckie. Sytuacja, zdawałoby się, bez wyjścia. Wszystkich jeńców czekała niewola.

Twój pradziadek był jednym z jeńców. Swój pistolet musiał oddać Niemcom. Ale od samego momentu uwięzienia myślał o ucieczce. O wydostaniu się na wolność. Nie godził się na niewolę. Był człowiekiem przedsiębiorczym, sprytnym i odważnym. Chodząc w ciągu dnia po otoczonej przez Niemców łące, zauważył jakąś większą przerwę między niemieckimi posterunkami i czołgami. Postanowił uciec – wyczołgać się w nocy z obozu jenieckiego. Był kiedyś harcerzem – w harcerstwie nauczył się czołgać.

Wiesz, co to jest czołganie się, prawda, Alku? Szorujesz brzuchem po trawie, po piasku, czy nawet kamieniach, podciągasz się ku przodowi tylko rękami i cały czas uważasz,

żeby być jak najbliżej ziemi.

Więc pradziadek czekał w tym miejscu do nocy. Chciał się wyczołgać pod osłoną ciemności. Wszyscy jeńcy poukładali się po prostu na ziemi, żeby się jakoś przespać. Zapadła ciemność. Pradziadek czuwał i już miał rozpocząć swoją próbę ucieczki z obozu, gdy nagle zaryczały motory czołgów stojących dookoła obozu i zapaliły się ich reflektory oświetlając całą łąkę. Były jednak pomiędzy tymi reflektorami smugi cienia. Choć ucieczka w tych warunkach była naprawdę bardzo ryzykowna, pradziadek zaczął się czołgać – najpierw pod drutami kolczastymi, potem między niemieckimi wartownikami, potem między niemieckimi czołgami. Czołgał się bardzo długo. Wreszcie zostawił Niemców za sobą.

W jakichś krzakach zdjął kurtkę munduru i wepchnął ją pod liście. Zachował jednak portfel – wiesz, twój tatuś też ma taki portfel z dokumentami, z pieniędzmi. Pradziadek nie wyrzucił portfela, bo miał w nim dużo pieniędzy i swoje dokumenty, choć złapany przez Niemców, byłby natychmiast zidentyfikowany w oparciu o te dokumenty. Ale i pieniądze, i dokumenty, mogły mu być potrzebne w dalszej drodze ucieczki.

Więc twój pradziadek najpierw długo się czołgał, a potem szedł kilka kilometrów przez las, aż doszedł do jakiejś wsi. Był środek nocy. Zastukał do pierwszego z brzegu domu. Nikt nie chciał mu

otworzyć. Szepcząc przez drzwi, przekonał jednak gospodarza, że jest polskim żołnierzem, który uciekł z niemieckiej niewoli i potrzebuje pomocy. Wreszcie drzwi się otwarły. Pradziadek poprosił gospodarza, żeby mu sprzedał spodnie, buty i sweter. Przydały się zachowane pieniądze. Zapłacił hojnie. Przebrał się, zostawiając swoje spodnie wojskowe, które tamten mężczyzna natychmiast spalił w piecu kuchennym.

Pradziadek dopytał się jeszcze tego człowieka o najbliższy kościół parafialny. Poszedł we wskazaną mu stronę. Dotarł pod plebanie o świcie. Przedstawił się księdzu proboszczowi, który przyjął go z wielką troskliwością i serdecznością. Pradziadek zaproponował temu księdzu kupno swego samochodu, który wciąż stał przecież w obozie jeniecki, za drutami – jeśli uda się go wydostać. Ksiądz przyjął propozycję. Ustalili jak to zrobią. Już zaczęli walczyć z Niemcami metodami konspiracyjnymi. Ksiądz da pradziadkowi dokumenty, które powinny zmylić Niemców, a pradziadek pójdzie po swój samochód i wydostanie go z obozu jenieckiego. Ryzykowny plan.

Ksiądz dał więc pradziadkowi, napisany po niemiecku dokument, stwierdzający, że samochód, mercedes, numer rejestracyjny taki i taki, należy do niego, i że stał w miejscu, gdzie wojsko niemieckie zorganizowało obóz jeniecki, bo akurat tam zabrakło benzyny. To akurat było prawdą – bak mercedesa był pusty. Więc ksiądz prosi w swym liście władze obozu, aby wydały samochód

jego kierowcy, który nazywa się tak a tak (nie pamiętam jakie tam podano imię i nazwisko) i zaopatrzył pradziadka dodatkowo w sporządzony na prędcie akt chrztu tego niby - kierowcy, jako legitymację tożsamości.

Ksiądz dał mojemu ojcu, a twemu pradziadkowi, dwa konie ze swojej stajni, postronki i orczyki. Pobłogosławił pradziadka na drogę. Pradziadek zostawił księdzu swój portfel - teraz nie mógł go mieć przy sobie. Dał mu także adres swojej żony, z prośbą, aby ksiądz napisał do niej, na wypadek gdyby on sam nie wrócił z wielce ryzykownej wyprawy.

Pradziadek poszedł z końmi do obozu jenieckiego. Daleka droga. Przy bramie pokazał sporządzone przez księdza dokumenty dowódcy warty i wytłumaczył mu po niemiecku, dokładnie, ze szczegółami, tak, aby tamten zrozumiał swym, zapewne tępym umysłem, że przysłał go ksiądz proboszcz po swój samochód, który stoi tu od kilku dni, bo zabrakło benzyny, a potem wojsko niemieckie zorganizowało nagle w tym miejscu obóz jeniecki. Twój pradziadek mówił świetnie po niemiecku, bo urodził się i chodził do szkół pod zaborem Austriackim, a Austriacy mówią po niemiecku. O, i o tym, co to były zabory, też muszę ci, Alku, kiedyś opowiedzieć. Nie teraz. Teraz wracam do opowieści o twoim pradziadku.

Dowódcę warty przekonuje jego opowieść i okazane dokumenty.

Przywołuje wartownika i każe pradziadka wpuścić do obozu.

Pradziadek odszukuje samochód. Zaprzęga konie do przedniego zderzaka. Trzymając lejce w lewej ręce przez opuszczone okienko i prawą kontrolując kierownicę wyjeżdża na obozową drogę. Zbliża się to tej samej budki wartowniczej i tej samej bramy, którą wszedł. Stoi tam ten sam wartownik, który go wpuścił. Macha ręką i twój pradziadek wyjeżdża z obozu ciągnionym przez konie mercedesem! Udało się!

Pradziadek jedzie długo, polną drogą, ku kościołowi. Ksiądz otwiera mu stodołę. On wjeżdża tam, wciąż ciągniętym przez konie, samochodem. Drzwi stodoły zostają zamknięte.

Na plebanii ksiądz proboszcz wypłaca pradziadkowi umówioną sumę za samochód. Była znaczna - stanowiła podstawę życia rodziny przez pierwsze miesiące wojny. Ksiądz daje jeszcze pradziadkowi na dodatek dobre cywilne ubranie. Książeczka wojskowa wędruje do pieca kuchennego. Z plebanii ojciec wychodzi już jako cywil, doktor Juliusz Braun, adwokat. Ma przy sobie swoje stare, polskie dokumenty.

Z tymi dokumentami wrócił z wojny do domu. Nie tylko uciekł z niewoli, ale i wy dostał swój samochód.

Twój pradziadek, Alku, to był wspaniały, dzielny, zaradny

odważny człowiek.

Gdy, sam zemocjonowany, kończyłem opowiadać Alkowi o jego dzielnym pradziadku, zobaczyłem, że chłopiec już zasnął. To i dobrze. Po to snułem te opowieści.

Pomyślałem jednak, że może Alek zapamięta choć część tej historii. I kiedyś uświadomi sobie, że wzorem swego pradziadka, powinien szukać wyjścia z każdej, nawet najtrudniejszej sytuacji, nie poddawać się, a zwłaszcza nie godzić się na jakikolwiek rodzaj niewoli.

Zobacz też:

„Pamięć”. Wspomnienia Kazimierza Brauna.

Wielkanoc w mirogonowskim dworze

Boże Narodzenie w Mirogonowicach